

Edward Guziakiewicz

A jeśli jutra nie będzie

Fragment

Opisywane tu wydarzenia miały naprawdę miejsce, jednak wskutek kosmicznej korekty czasu nikt ich nie pamięta.

Prolog

Uderzyło mnie bogactwo flory i fauny tej planety, rzuconej na dalekie obrzeża galaktyki. Życie pleniło się tu niemal wszędzie — na lądach, w atmosferze i w głębinach oceanów. Natura triumfowała, zaś w wyniku ewolucji wykształciło się wiele milionów gatunków owadów, zwierząt i ryb. Kilka razy opłynąłem glob i zabrałem się do katalogowania organizmów żywych. Nie znalazłem tu wprawdzie wybitnie inteligentnych form życia, za którymi rozglądałem się w kosmosie, niemniej jednak badane ciało niebieskie wydało mi się intrygujące i zajmujące pod każdym względem. Korciło mnie, by w niedalekiej przyszłości oddać je Meonom, rokującej rasie klasy zero trzy. Ten dobrze się zapowiadający gatunek szybko ewoluował i wymagał lepiej przystosowanego środowiska. Wyglądający jak świetliste larwy Meonowie czuliby się doskonale w mokrych lasach tropikalnych, nie mówiąc o tym, że dopasowałyby się bez trudu do tutejszego łańcucha pokarmowego.

Nie ze wszystkim jednak ewolucja sobie poradziła. Załamała

się na gatunku, odgrywającym kluczową rolę na tej planecie i szybko przekształcającym otoczenie. Dziwnym trafem doszło do jego degeneracji.

— Katastrofa — mruzczałem z niesmakiem, oglądając brudną mgłę wiszącą nad ogromnymi metropoliami, wyrosłymi na różnych kontynentach. — Jak tak można?

Dobrze rozwinięty i pojemny mózg tutejszych ssaków naczelnych o spionizowanej postaci z niezrozumiałych dla mnie powodów wykorzystywał nikły procent swego potencjału. Co wywoływało fatalne skutki. Dociekliwi dwunożni byli niebezpiecznymi pasożytami. Nie umieli żyć w harmonii z przyrodą, bezmyślnie ją eksploatowali i niszczyli wszystko, co tylko się dało. Straszliwie zaśmiecali otoczenie. Nie pozostawili w spokoju nawet przestrzeni kosmicznej. Wierzyli, że ich celem jest dominacja technologiczna w świecie natury. Gdybym pozostawił ich własnemu losowi, starliby życie z powierzchni globu. To już był ostatni dzwonek.

Aby uratować tę planetę i zachować jej cudowną faunę i olśniewającą florę, należało wyplenić ten gatunek. Rozprawić się z nim raz na zawsze. Po głębszym namyśle zdecydowałem się jednak pozostawić przy życiu jedną setną nieszczęsnej populacji. No, może gdzieś tam jedną pięćdziesiątą. U niewielkiej części osobników wykryłem bowiem obiecujące sekwencje genetyczne.

Kiedy uporałem się z pracą, świetlista strzała z zabójczym wirusem wystrzeliła w stronę globu. Ja zaś wybrałem się w dalszą drogę, szukając innych skupisk życia w kosmosie. Tu już posprzątałem.

Z dziennika pokładowego En-A-Rina

Rozdział pierwszy

Poniedziałek, 7 kwietnia 2014 r.

Zmutowany wirus zaatakował najpierw odległą Japonię, jakby tam go stworzono i jakby tam wymknął się z laboratorium szalonych naukowców. Skośnoocy przechodnie w Tokio, Jokohamie i Osace padali na ulicach jak muchy. Ich ciała schły i rozsypywały się w pył. Piorunem ogarnął całą Azję, dotarł do Europy i uderzył we wschodnie wybrzeża Stanów Zjednoczonych Ameryki. Piekło okazało się szybsze od ludzkiej wyobraźni. Ludzie masowo ginęli. Nie mieli czasu, by wpaść w panikę, więc obywało się bez dantejskich scen. W niedzielnych wiadomościach wieczornych informację o tragedii podawano jako ciekawostkę, zaś w poniedziałek było już po wszystkim. Doszło do biologicznej zagłady gatunku. Epidemia błyskawicznie ogarnęła cały świat, kosząc blisko sto procent populacji. Nie ominęła Florydy. Była czymś gorszym od huraganów tropikalnych, od czasu do czasu atakujących wybrzeże i wywołujących duże szkody, oraz od trzęsień ziemi i potężnych tsunami.

Oscar Moore nie zdawał sobie sprawy z tego, co się w nocy stało. W powietrzu wisiał lęk, lecz jeszcze nie zdążył wywołać w nim denerwującego bicia serca. Chłopak nie był rannym ptaszkiem, jednak musiał się nauczyć wcześniej wstawać. Skrył się pod prysznicem, obejrzał w lustrze swoją gładką twarz, póki co nie wymagającą maszynki do golenia, zjadł w kuchni płatki z mlekiem, założył wygodne dżinsy i koszulę z cienkiej flaneli, przeniósł się do garażu i wyprowadził srebrne volvo matki. Nie był dawno u fryzjera i niesforne włosy w kolorze głębokiego brązu opadały mu na kołnierzyk koszuli. Jak co dnia wybrał się do szkoły.

Dotarł do skrzyżowania. Światła się zmieniały, zielone, żółte i czerwone, a stojące bezładnie samochody blokowały przejazd.

Doszło tu do kraksy. Dwa policyjne radiowozy z migającymi kogucikami dopełniały obrazu całości. Panowała dziwna cisza. Czegoś tu brakowało. Kierowcy zniknęli jak kamfora. Wydawało się, że porzucili swe gabloty i pospołu wybrali się na piwo. Za nim podjechała do zatoru białą toyotą seksowna brunetka z naprzeciwka. Była jego sąsiadką, po cichu się w niej podkochał, więc znał ją z imienia i nazwiska. Rita Bennett miała około trzydziestki i pracowała w banku przy Datura Street. Wiedział o tym, bo kiedyś niczym wynajęty detektyw pojechał za nią, chcąc skrycie sprawdzić, co robi. Zajmowała piętrowy dom z ładną werandą i ogrodem. Mieszkała sama i dziwił się, że taka modelka nie dochrapała się faceta. Zawsze cieszyła oczy wystrzałową fryzurą i pokazywała się w modnych ciuchach. Nikt jej nie odwiedzał, poza dwiema leciwymi damami, niechybnie jej ciotkami. Czasami wieczorami usiłował ją podglądać z pokoju na piętrze przez ustawioną na statywie przy oknie lunetę, którą dostał na siedemnaste urodziny.

Rita wysiadła, chcąc sprawdzić, co się dzieje i zdjęła okulary przeciwsłoneczne, mrużąc lekko oczy. Była pierwszą żywą istotą, którą spotkał tego ranka i wziął to za dobry znak. Kiedy widział ją w mini, czuł radosny przypływ podniecenia. Miał nadzieję, że zamieni z nim kilka słów. Wprawdzie jej poczucie własnej wartości graniczyło z próżnością, ale mu to nie przeszkadzało. W chwilę później źle się poczuła. Oparła się o drzwiczki wozu i bezradnie osunęła na asfalt. Wypadł jej z dłoni telefon komórkowy. Podbiegł, próbując pomóc, ale nic nie mógł wskórać. Zmarła na jego rękach. Patrzył struchlały na to, co z nią się dzieje. Gładka skóra modelki zwiotczała, jakby jej nagle przybyło wiele lat, zestarzała się w kilka sekund, ciało zaczęło się kurczyć, zamieniając się w wyschlą mumię, a po dwóch minutach została z niej tylko kupka miału. Srebrna bransoleta, którą miała na nadgarstku, potoczyła się na pobocze.

Z przerażeniem wpatrywał się w bluzkę z żabotem, krótką spódniczkę i czarne damskie pantofle. Czy to nie był zły sen? Usi-

łował zachować zimną krew, ale bez powodzenia. Wpadł w po-
płoch. Rosnąca panika dławiała mu oddech, zaś w jego głowie
dźwięczał alarm. Dusiło go w żołądku. Pomyślał, że zwymiotuje,
ale się opanował. Dopiero teraz pojął, że to nie żarty. Miał nóż na
gardle i kostucha zajrzała mu w oczy. Znalazł się w centrum zda-
rzeń, które nie powinny były mieć miejsca. Przeczyły porządkowi,
w który mocno wierzył. Czy straszliwy wirus musiał dotrzeć do
West Palm Beach? Czy nie mógł się zatrzymać za Atlantykiem?

Wyłączył silnik toyoty Rity, na uginających się z przerażenia
nogach dotarł do volvo i schronił za kierownicą. Przetarł spoczone
czoło. Jego ręce drżały. Stracił ochotę na jazdę po mieście i po-
śpiesznie zawrócił do domu. Nie miał autystycznych skłonności,
jednak marzył, by natychmiast ukryć się w mysiej dziurze. Zau-
ważył dwóch snujących się poboczem gówniarzy z deskorolkami.
O dziwo, byli cali i zdrowi. Bawili się i nic sobie nie robili z tego,
co się stało. W salonie włączył telewizor, próbując się dowiedzieć
czegoś więcej o tragedii. Ludzie znikali, a po nich zostawały tylko
odzienia. Ciała wracały do nieorganicznej postaci. Człowiek po-
wstał z prochu i w proch miał się obrócić. Przeszukiwał pilotem
kanały, odkrywając, że część stacji już nie nadaje. Mówiono
o pandemii, na którą nie ma lekarstwa. O kataklizmie bez prece-
denu. Występujący przed kamerą posiwiwały rozmówca z wąsi-
skami jak u Alberta Einsteina nie miał wątpliwości, że zabójczy
wirus pochodzi z kosmosu. Rozgadał się, zarażając telewidzów
swoim pesymizmem. To diabelstwo rozprzestrzeniło się w błyska-
wicznym tempie. Nie było widoczne gołym okiem, a ruszało z po-
sad góry. Demoniczne siły zmierzyły się z anielskimi hufcami.
Biblia nie kłamała, nadchodził Armagedon, jednak nie zapowiada-
ło się, żeby w tej walce dobro miało zwyciężyć. „To największy
skandal od czasów, w których wyginęły dinozaury! — pieniał się.
— Ba, co jak mówię, od czasów, kiedy ostygła Ziemia. W ciągu
jednej doby wyciąć w pień przeszło siedmiomiliardową cywiliza-
cję? Obcy, którzy się na to porwali, powinni smażyć się w piekle!”

Oscar popadł w niepokojącą zadumę.

— Jak to możliwe? Ludzie mają przechlapane — wyszeptał.
— Dlaczego tak się stało?

Mgła wypełniająca jego umysł powoli ustępowała. Nie wrywał sobie włosów z głowy i nie rozpaczał, bo to by mu nic nie dało. Nie rozumiał, dlaczego ominęła go kostucha i czemu udało mu się ująć z życiem. Czyżby należał do w czepku urodzonych? Szczęśliwców nie było wielu, niemniej jednak okazało się, że złośliwy wirus nie wszystkich wysłał na tamten świat, jakby niektórzy cechowali się wyjątkową odpornością. Czy dawało się ocenić to dziwne zjawisko z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa? A co na to współczesna medycyna? Krążyły mu po głowie te i inne myśli.

Próbował połączyć się z rodzicami, którzy wyjechali na weekend aż do Cape Coral, ale ich komórki milczały jak zakłète. Mieli wrócić w niedzielę późnym wieczorem, jednak matka zadzwoniła, że przenocują u znajomych, u których gościli i że zostaną u nich do poniedziałku. Domyślił się, że już nigdy ich nie ujrzy. Nad Zatoką Meksykańską na pewno nie było inaczej niż nad Atlantykiem. Później otrzymał esemesa od rozkosznej Emily Steward o treści „Zbieramy się, przyjedź do budy!”

To go podniosło na duchu. Poczul, że nie jest sam jak palec w świecie opanowanym przez demoniczne moce i mimo wszystko postanowił wybrać się do szkoły. Mysia dziura tylko z pozoru była dobrą kryjówką.

— Weź się w garść — mruknął, próbując dodać sobie otuchy.
— Masz ze sto powodów, dla których warto żyć. Nie możesz tchórzliwie zwiijać żagli.

Wcześniej zajrzał w kuchni do lodówki. Świeciło pustkami. Powinien był w drodze powrotnej wstąpić do supermarketu. Matka robiła zakupy w soboty i zapasy zwykle wystarczały na cały tydzień, ale w tę sobotę jej nie było. Jak długo mogły działać chłodziarki i zamrażarki? Tak długo jak płynął prąd. A co potem?

Emily Steward była jego dobrą przyjaciółką, ale nie mógł przyjąć, że z nią chodził, chociaż raz się całowali. Jej usta smako-

wały jak owoc brzoskwini. Widywali się w szkole i trzymali szta-
mę. Kruchutka blondyneczka o ślicznej buzi nie protestowała,
kiedy niby przypadkiem dotykał ją lub obejmował. Odrobinę nad
nim dominowała, lecz mu to nie przeszkadzało. Pochodziła z za-
możnej rodziny, ojciec był w zarządzie dużego banku, a to jej da-
wało naturalną przewagę nad chłopakiem. Pewne rzeczy w jego
życiu biegły własnym trybem, nie miał na nie wpływu, więc os-
trożnie przewidywał, że wcześniej czy później, może gdy będzie
na uniwersytecie, kupi pierścionek zaręczynowy zdobiony drob-
nym diamentem i poprosi Emily o rękę. Gdyż tak będzie wypada-
ło. Odczuwał delikatną presję, by zbudować z nią coś trwałego.
I nie przypuszczał, by miała szukać innego faceta. Ale na razie nie
rwał się, by oficjalnie odgrywać rolę jej chłopaka. A poza tym
i ona o to nie zabiegała. Krótko mówiąc, nie nudził go ten związek,
ale i nie przywiązywał do niego dużej wagi.

Po drodze musiał zwolnić, bo szosa była zalana. Z mijanej po-
sesji spływała woda.

— Chryste, kogoś złapało w wannie — odkrywczozauważył,
po raz kolejny pojmując, że to nie są żarty. Pękła rura? Lało się
z przepelnionego basenu?

Korciło go, by tam wejść i zakręcić dopływ wody, ale z tego
zrezygnował.

— *No me importa* — mruknął.

Nie miał zadatków na dobrego Samarytanina. Łudził się na-
dzieją, że ktoś inny tym się zajmie.

Rozdział drugi

Korytarze świeciły pustką, w oddali mignął mu tylko umięśniony wuefista, zaś słodką blondynkę znalazł dopiero w auli. Miała na sobie przewiewną tunikę i krótkie džinsy. Włosy zaplotła w luźny fantazyjny warkocz, który spadał jej na prawe ramię. Siedziała tam w towarzystwie kilku rówieśników. Wszyscy byli z kółka ekologicznego, do którego sam należał. Nie wyglądali na specjalnie przerażonych, niemniej jednak mieli nosy pospuszczane na kwintę. Jak przystało na ich wiek, grali rolę twardzieli, odpornych na przeciwności losu.

Emily Steward ucieszyła się na jego widok. Wskazała mu miejsce na schodkach obok siebie.

— Głównie, jak przeżyć? — zapytał, widząc, że nikt nie kwapi się do rozmowy.

— Nie przeżyjemy — zaproponowała Emma. — Kopniemy w kalendarz jak nic. Czacie? Słyszałam, że ma nadejść druga fala.

Nie była to dobra wiadomość. W głębi duszy pozostawał przekonany, że nic mu się nie stanie, więc ciarki przeszły mu po plecach. Lodowate palce strachu zaczęły wędrować wzdłuż jego kręgosłupa, a potem zacisnęły się na jego sercu.

— Nie sądzę — mruknął.

— Trzeba korzystać z życia — mówiąc to, Emily pytająco zajrzała mu w twarz. — Wagarujemy, nie mamy innego wyjścia. Może powinniśmy się gdzieś wybrać? Czas się zabawić, tylko tyle nam zostało, przecież nie dociągniemy do dyplomu. Nie będzie balu maturalnego.

Szprychy były niepocieszone i zdruzgotane, a ona próbowała postawić je na nogi. Emma histerycznie się roześmiała.

— Po co nam dyplomy, skoro nadszedł koniec świata?

— To nie jest koniec świata — zaprotestowała Sarah. Bawiła

się rogowymi okularami, które zakładała do czytania. — Szlag trafił tylko jeden gatunek. Nas! Moje papużki mają się dobrze. Świnka morska też. — I dodała: — *A propos* dyplomów... Biblioteki zapraszają. Papier długo wytrzyma, więc będzie można się dokszałcać. Bo na czytniki nie ma co liczyć. W ogóle na nic, co jest na prąd. Cofniemy się do XIX wieku.

— Ciekawe, ilu ludzi zostało? Mówili w telewizji, że uratowała się jedna setna — zastanawiała się Judith. Oglądała swoje paznokcie. Była ruda i piegowata, ale nie brakowało jej wdzięku. Umiała manipulować chłopakami.

— To w takim razie Stany Zjednoczone mają teraz niecałe cztery miliony mieszkańców — podliczył Carlos. Jego rodzice byli uciekinierami z Kuby. — Zamiast trzystu siedemdziesięciu milionów. To już nie jest prawo wielkich liczb. Psiamać, wszystko padnie.

— Próbowałam się dodzwonić do mojego dentysty, nie odpowiadał. Ukruszył mi się ząb — pożaliła się Sarah. Wyglądała poważnie. Jasne włosy miała zaczesane do tyłu, ułożone w bombkę i lekko spięte. Sukienkę wyciągnęła chyba z szafy matki.

— I tak przecież staliśmy w obliczu zagłady gatunku ludzkiego, zważywszy zagrożenie wywołane przeludnieniem — sarkastycznie zauważył Carlos. — Mam wam to tłumaczyć? Przecież należycie do kółka ekologicznego. Rozmnażaliśmy się w absolutnie niekontrolowany sposób. A górna dopuszczalna granica wynosiła cztery miliardy. Przekroczyliśmy ją około czterdziestu lat temu, mając w nosie globalne ocieplenie, zanik warstwy ozonowej i zwiększoną emisję dwutlenku węgla oraz kilka innych koszmarnych parametrów. — Zamilkł na chwilę i dorzucił, dzieląc coś w myślach: — No, ale co innego cztery miliardy, a co innego siedemdziesiąt milionów. Jeden procent. Zdziwiający efekt demograficzny. Tylko tyłu ludzi zostało na calutkiej Ziemi. Ale jaja! — wysświetlił tabelę. — Z taką populacją mieliśmy do czynienia... około V wieku p.n.e.

— Czy to będzie świat bez hajsu?

— Bez hajsu? A jak doładuję telefon? Jak wyślę esemesa?

— Widziałam dwa pożary na południu — przypomniało się Angelinie. Była wysoką lolitką o regularnych rysach twarzy, długich nogach, wąskich biodrach i pełnych piersiach, które starannie ukrywała pod ubiorami. Jej kasztanowe włosy, które niekiedy rozjaśniała, opadały czarującą kaskadą, a ułożona na bok grzywka dodawała jej uroku. Przed rokiem zgrabna czirliderka zdobyła tytuł miss szkoły, ale nie korciło jej, by zostać modelką. Nie była przeczulona na punkcie własnej urody i na co dzień odziewała się bardzo skromnie.

— Pewnie nie miał kto gasić — gorzko skwitował Oscar. Lubiał Angelinę Thomson. I gdyby nie to, że ustępowała placu Emily, która nie dopuszczała do niego koleżanek, chyba by się z nią zaprzyjaźnił. Dodał po chwili namysłu: — A co się stanie z elektrowniami atomowymi, których nikt nie obsługuje? Jest ich u nas ponad sto, z tego pięć na Florydzie. Miesiąc temu pisaliśmy pracę na ich temat.

Kubańczyk podniósł głowę znad laptopa. — O, rany! Padła przeglądarka — dorzucił po chwili. — Bing jest, Google — nie.

Wyjął z plecaczka puszkę coca-coli i ją otworzył. Syknęło. Emma podniosła się i zajrzała mu przez ramię. Był rozgarnięty i miły, ale przy tym trochę niepozbierany.

— Odśwież! — rzuciła surowo. Czarnowłosy chłopak posłuchał i po chwili pojawił się znany na całym świecie kolorowy napis. Dziewczyna czuła się odpowiedzialna za Carlosa i przy pomocy drobnych impertynencji wymuszała na nim troskę o higienę. Dzięki niej Kubańczyk nie przychodził do szkoły z przetłuszczonymi włosami i brudnymi paznokciami.

— Wróciło. Nie wiadomo, na jak długo.

Wymieniali się dalej uwagami, ale nie doszli do żadnego konstruktywnego wniosku. Wreszcie zamilkli. Sarah założyła słuchawki. Emily bezwiednie bawiła się warkoczem. Zamierzała coś powiedzieć, ale nic nie rzekła.

Emma zajmowała się słownikiem synonimów.

— Katastrofa, zagłada, hekatomba, tragedia, nieszczęście, dramat, kataklizm, klęska, zguba, plaga, apokalipsa, kara niebios, koniec świata, sądny dzień, sąd ostateczny... — wyliczała.

To nie było zabawne, więc Oscar opieszale wstał i poprawił ręką włosy. Obleciał go tchórz. Robili dobre miny do złej gry, a przecież ich bezpieczeństwo było iluzją. Przez krótką chwilę męczyło go wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę i że śnią sobie, podłączeni do Matrixa, który wskutek jakiegoś błędu zmienił nagle fabułę zdarzeń.

Emily nie chciała, by ich opuścił.

— Muszę zrobić zakupy — mruknął, widząc nieme znaki zapytania w jej oczach.

— Wiecie, co? — klasnęła w dłonie, próbując ożywić towarzystwo. — Pojedźmy do City Place! Całą siódmką!

Pobiegł myślami na South Rosemary Avenue i Hibiscus Street, a potem na plac przed The Harriet Himmel Theater, jednak nie miał ochoty spędzać tam czasu.

— Jutro się spotkamy — rzucił do Emily.

Nie protestowała. Czule pocałowała go w policzek. Zrobiła to ostentacyjnie, pierwszy raz na oczach całej grupy, a Angelina nie umiała ukryć zmieszania, malującego się na jej twarzy.

— *Okay* — rzekła blondyneczka. — Zadzwońię do ciebie.

Emma znalazła nowe hasło.

— Kolektyw, komuna, wspólnota, gromadka, stadło — delektowała się kolejnymi słowami, ale Oscar już tego nie słyszał.

W drodze powrotnej zastanawiał się nad tym, w jakie gabloty powinien się wyposażyć. Doszedł do wniosku, że powinien postarać się o niezawodny samochód sportowy, najlepiej marki Chevrolet, kabriolety wykluczył, a niezależnie od tego o pojemnego vana, przydatnego w przypadku dużej przeprowadzki. Należało za takimi modelami rozejrzeć się po mieście. Ulice się wydłudniły, jednak auta pozostały i było w czym wybierać bez konieczności sięgania po nowe, chociaż i taka możliwość wchodziła w grę.

Zrobił zakupy w supermarkecie, do którego zwykle jeździła matka. Było otwarte, jednak w środku kręciła się tylko jedna osoba z obsługi. Młoda zapłakana Meksykanka włosy miała w nieładzie. Pewnie straciła wszystkich bliskich. Nie mógł jej pomóc. Zresztą zaraz odeszła na zaplecze. Szukał produktów, które nie musiały leżeć w lodówce i miały odległą datę ważności, załadował do wózka sporo konserw mięsnych, a potem położył na wierzchu duży worek węgla drzewnego do grilla. Przy kasie dorzucił do tego ze dwadzieścia zapalniczek gazowych i baterie do latarki. Zabezpieczał się na wypadek braku energii elektrycznej. Nie zapłacił, bo nie miał komu. Przez moment czuł się osobnikiem, cierpiącym na kleptomanię. Czy był złodziejem? Nie. Pierwszy raz coś wynosił, omijając kasy i nie oglądając się na ochroniarza. Ironicznie pomyślał, że ci, co przeżyli, mogli bez końca brać udział w wielkiej absurdalnej wyprzedazy. Na wszystko. Ceny dla nich spadły o całe sto procent. Czy to nie było zabawne? Dopiero gdy wracał do domu, przytomnił sobie, że zapomniał o świeczkach.

W głowie miał rój pomysłów na to, co powinien robić. Przygotował sobie obiad, ojciec go uczył, że facet pod tym względem musi umieć sobie radzić, umył naczynia, potem pedantycznie posprzątał w kuchni, jednak jego myśli cały czas grawitowały w stronę posesji Rity Bennett. Podniecało go to, że wreszcie będzie mógł pobuszować w jej domu. Wcześniej nie odważyłby się tam włamać. Póki co zbijał baki. Posiedział przy włączonym telewizorze i przy laptopie, zalogował się do portalu społecznościowego, miał konto na Twitterze, z Facebooka zrezygnował, kiedy dostał od mamy zaproszenie do grona znajomych, dowiedział się, że w nocy doszło do szeregu katastrof lotniczych, pociągi nie kursują, a w miastach są tworzone komitety ocalenia publicznego. Zajął się ściąganiem filmów i plików muzycznych, póki jeszcze było można. Potem jeździł na swych ulubionych rolnkach. Nie było ruchu, więc mógł sunąć środkiem szosy. Minął go jedynie zielony cadillac coupe de ville, którym rzucało na obie strony, bo za kierownicą siedział niedorostek. Głowa ledwo co wystawała

nad kierownicę. By mu ustąpić, musiał zjechać na pobocze.

Dzień umierał w krwawej łunie. Zachodzące słońce zabarwiło szkarłatem niebo, a jego ostatnie promienie kładły się na meblach. Samotny Oscar medytował nad sobą i swoim losem. Nie miał bolesnych wspomnień, życie obchodziło się z nim w miarę łaskawie, choć i sam nie za wiele od niego wymagał, a dopiero teraz zadało mu potworny cios. Chodził po domu, zaglądając w różne kąty. Wyjął z sekretarzyka w sypialni rodziców ulubiony naszyjnik matki i ścisnął go mocno, jakby chcąc w ten sposób przywołać ją do siebie. Ich głosy, aura, którą roztaczali, miały już nie wrócić.

— Jakoś to będzie — mruknął z przygnębieniem. Nie zamierzał płakać jak bóbr. Tylko z pozoru można było w tej sposób dać upust swemu bólowi. Gdyby raz uległ i rozmazał się jak dzieciak, to już by się nie pozbierał.

Staął przy oknie i wbił wzrok w pustą przestrzeń. Uciekł myślami do domu naprzeciwko. Nie był nocnym markiem, ale wołał wybrać się do adorowanej sąsiadki po zmierzchu, więc czekał, aż zrobi się ciemno. Zapadająca noc otuliła wreszcie mrokiem ziemię. Wyłączył telewizor. Z okna sypialni Rity przebijała się słaba poświata, co go odrobinę zaniepokoiło, ale nie przypuszczał, żeby ktoś tam był. Ruszył, zabierając ze sobą latarkę elektryczną ze świeżo założoną baterią i scyzoryk o wielu ostrzach. Do środka wdarł się od tyłu. Drzwi kuchenne ustąpiły. Starał się być ostrożny, ale i tak uruchomił alarm. Włączyła się syrena. Odstraszające dźwięki wypełniły cały dom. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy wyłączył to diabelstwo. Pojął, że nie zrobiłby kariery jako włamywacz. Wylał ręką spoczone z wrażenia czoło i rozejrzał się po wnętrzu.

Klimatyzacja działała jak należy, więc czuł miły chłód na twarzy. Pokój dzienny był typowy, zagospodarowany jak w wielu innych amerykańskich domach. Rzucił się w oczy wygodny zes-

taw wypoczynkowy. Ławę ze szklanym blatem ozdobił flakon z kwiatami. Przyciągała wzrok kolorowa miska pełna pomarańczy. Na ścianach obok obrazów wisiały zdjęcia Rity ze studiów. Wyglądała na nich bardzo młodo.

W kuchni panował porządek. Odkrył niewielką salę do ćwiczeń fizycznych. Na chwilę zaszył się w łazience. Oglądał kosmetyki, miała ich moc, jego matka tyłu nie kupowała. Wisiały ręczniki i szlafrok Rity. Pomadką do ust wymalował na lustrze serduszko. Potem wspiął się po schodach na piętro.

Jasnoróżowa sypialnia zaparła mu dech w piersiach i wywołała przyspieszone bicie serca. Znalazł się nagle jakby w innym świecie. Czuł się w jej pieleszach jak waleczny rycerz, który wdarł się wreszcie do niezdobytej wieży, zajętej przez piękną księżniczkę.

Mebelki były białe. Palila się od rana nocna lampka z abażurem, widocznie właścicielka zapomniała ją zgasić. Ściągnął z nóg adidasy i rzucił się na łóżko, wtulając twarz w poduszki i pomiętą pościel. Zapach drogich perfum działał na niego jak narkotyk. Cieszył oczy dwuczęściową koszulką nocną z czarnego jedwabiu, porzuconą na posłaniu. Wyciągnął się wreszcie jak długi, wpatrując w sufit i wsłuchując w ciszę domu. Było to idealne miejsce na świątynię dumania. Mógł puścić wodze fantazji i na jakiś czas uciec od rzeczywistości, a jego wyobraźnia miała się czym karmić. Nie przeszkadzało mu, że zjawiskowa madonna obróciła się w proch. W jego marzeniach nadal żyła. Tu mógł ją odkrywać tak, jakby miała się dobrze i zamierzała zaraz wrócić, a następnie wpaść w jego ramiona.

Przestał bujać w obłokach, odważył się i zapalił górne światło, a potem z ciekawością zajrzał do pojemnej ściennej garderoby, zatrzymując wzrok na wiszących na wieszakach sukienkach, spódnicach i bluzkach. Wyciągał je po kolei i oglądał z obu stron.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że tylna ściana szafy nie jest wcale zamontowana na stałe, choć stwarza takie wrażenie. Zaciekawiła go chromowana gałka, której tam nie po-

winno było być. Ku swemu zdumieniu trafił na przesuwne drzwi. Poruszały się lekko po niewidocznym torze z łożyskami.

— Ki czort? — zapytał. Przecież nie znalazł się w średnio-wiecznym zamku, w którym z natury rzeczy nie brakowało tajemnic, a przede wszystkim ukrytych przejść, ale w obiekcie współczesnym pod każdym względem, wygodnym, funkcjonalnym i użytecznym.

Zapуścił tam żurawia. Przecisnął się między wieszakami z ubraniami i przywitało go zamaskowane pomieszczenie. Ciemne wewnątrz nie miało okna. Sprzężony z przesuwными drzwiami automat włączył oświetlenie, zapłonęły żarówki halogenowe i nogi się pod nim ugięły.

— Jasny gwint! — wyszeptał. — To niemożliwe.

Znalazł się w prawdziwej zbrojowni. Leżało tu w gablotach kilkadziesiąt sztuk krótkiej broni palnej. Zachowywał się jak malec, wpuszczony do pokoju, w którym nie wolno mu było niczego dotykać, ale nie umiemy oprzeć się pokusie. Szklane przykrywy lekko się podnosiły. Wziął kolejno do ręki kilka sztuk. Nie należały do egzemplarzy produkowanych seryjnie, nie miały logo firmy i domyślił się, że wykonano je na specjalne zamówienie. Świadczyła o tym jakość materiałów. Posłużono się drogimi kompozytami i były prawie tak lekkie jak pistolety gazowe. Potem go zaciekawily karabinki wyborowe, wyposażone w celowniki optyczne i noktowizory. W kątach stały ciemnozielone skrzynki, do których nie próbował zaglądać. Otarł się nogami o kilka długich granatowych walizek, a potem zajrzał do jednej z nich.

— Boże, ona była snajperem! — wyszeptał zbiełatymi wargami.

Nie wiedział, co o tym sądzić i to odkrycie omal nie ścięło go z nóg. Pociągająca Rita Bennett miała dwie twarze. Dla kamuflażu pracowała w banku, udając naiwną madonnę, rozkochaną w modnych kreacjach, cennej biżuterii i drogich kosmetykach. Naprawdę jednak zajmowała się czymś, co już na odległość śmierdziało i było mocno podejrzone. Co właściwie robiła? Nie

miął zielonego pojęcia. Była groźną terrorystką? Wolnym strzelcem, podejmującym się płatnych zleceń? Mordercą na zamówienie? Kimś w rodzaju mafijnego cyngla, specja od mokrej roboty? Pośredniczyła w nielegalnym handlu bronią? Należała do działającej w ukryciu elitarnej jednostki wojskowej?

Minęła dwudziesta druga i doszedł do wniosku, że powinien wynieść się ze świątyni Rity. Rozszyfrowywanie tajemniczej brunetki odłożył na następne dni. Musiał dokładniej poszperać w jej rzeczach. Zamknął szafę w jej sypialni i cicho zszedł po schodach. Nie miał odwagi po nocy zaglądać do piwnicy. Gdy wychodził z tyłu domu, uderzyła go myśl, że mógłby wyposażyć się w kilka artefaktów z jej groźnego arsenału. Na wszelki wypadek należało mieć coś do samoobrony. Licho nie spało.

Rozdział trzeci

Kiedy przechodził na drugą stronę uliczki, w wieczornej ciszy usłyszał kasłanie. Zabiło mu mocniej serce. Zdziwiło go, bo we wszystkich oknach było ciemno. Zatrzymał się. Atak kaszlu trwał dobrą chwilę. Jeśli się nie mylił, po prawej stronie ktoś czuwał na obrosłej winnym gronem werandzie. Księżyc był w pierwszej kwadrze. Kto się ostał? Podejrzany dom sąsiedował z posesją Rity Bennett i dopadło go wrażenie, że waruje tam agent, mający oko na jej skarby. Czy to było możliwe? Z duszą na ramieniu zbliżył się do parceli, nie postawiono w tym miejscu latarni, a kiedy wysilił wzrok, zorientował się, że w drzwiach stoi naga kobieca postać. Nie wierzył własnym oczom. Striptiz na skraju drogi?

— Hej! — niepewnie podniósł rękę w przyjaznym geście.

Nieodziana anielica poruszyła się, więc na pewno żyła. Jednak nie odwzajemniła powitania.

Odważył się i wszedł po niskich schodkach. Gdy już wyluskał z ciemności jej twarz, ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, że ją dobrze zna. Ciemne włosy podtrzymywały z obu stron wsuwki.

O rok starsza od niego, była uczennicą School of the Arts. Interesująca się malarstwem matka przyniosła kiedyś jedno z jej niewielkich płócien i powiesiła na ścianie w salonie. Szpara przywodziła mu na myśl żonę Gomeza z filmu „The Addams family”, względnie jego córkę, przemądrzałą Wednesday. Wysoka i smukła, nosiła zwykle długie czarne sukienki. Zamknięta w sobie, na ulicy nie zamieniła nigdy z chłopakiem ani słowa.

— Katie? — powściągliwie zapytał.

Dopiero teraz pojął, w co się wpakował. Wystająca na progu ślicznotka miała figurę jak z okładki „Playboya”. Oczy mu się rozbiegły z wrażenia, a nogi się pod nim ugięły. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Nie była brzydkim kaczątkiem i serce

waliło mu jak młot. Spociły mu się dłonie. Nigdy nie stał sam na sam z bezwstydnie rozebraną młódką. Szprychy z jego otoczenia zawsze miały coś na sobie, czy to na boisku, czy to na pływalni. Niepewnym wzrokiem zjechał na jej bose stopy. Wyzywające kształtne piersi aż prosiły, by je objąć i przytulić.

Przytaknęła i pociągnęła nosem. Nie umiała ukryć stanu głębokiego przygnębienia i wyglądała tak, jakby przez pomyłkę wypuszczono ją ze szpitala psychiatrycznego. Jej twarz nie wyrażała żadnych ludzkich uczuć, bo tłumilo je niewyobrażalne, wręcz zwierzęce przerażenie. Była jak kulący się na środku szosy gryzoń, sparaliżowany światłami nadjeżdżającego samochodu i niezdolny do ucieczki.

— Czemu stoisz naga? — usiłował dociec, gdy już opanował wstydlivy oczopląs. Głos przeszedł mu wreszcie przez gardło.

— Czekam na śmierć — wyjąkała.

Z powątpiewaniem przyjął jej deklarację. Nie pojmowała, na czym stoi. W przeciwieństwie do niego nie opuściła domu i nie pokręciła się między tymi, którzy przeżyli. Od rana męczyła się w samotności, maltretując myślą, że musi nadejść jej koniec.

Wziął głębszy oddech.

— Jeśli dotąd nie umarłaś, to już nie umrzesz — pocieszył wystraszoną do ostatnich granic lalunię. — Widzisz? Ja żyję — rzucił z przekonaniem. — I mam się dobrze.

Zastanawiała się nad tym, co powiedział. Odniośł wrażenie, że zapalił małe światelko w ciemnym tunelu.

— Chodź, zobaczysz! — pociągnęła go za rękaw bawełnianej koszuli.

W pokoju gościnnym na ławie płonęła migotliwym światłem czerwona świeca, pozostawiająca w powietrzu zapach parafiny i wosku palmowego. Obok niej stały dwa kryształowe flakony na cięte kwiaty, wypełnione ceglastym pyłem wiadomego pochodzenia. O jeden z nich było oparte niewielkie zdjęcie z albumu rodzinnego.

— Tyle zostało z moich starych — znowu pociągnęła nosem.

Łamał się jej głos. — Umarli na moich oczach.

Uświadomił sobie, że w ciągu doby Ziemia stała się cmentarzyskiem dla miliardów ludzi. Nie miał kto odprawiać ceremonii pogrzebowych i modlić się w ich intencji. Ci, co przeżyli, rozpaczliwie próbowali się pozbierać i zajmowali się sobą. Nie w głowie były im obrzędy.

Pomyślał, że dziewczyna powinna coś na siebie włożyć. Zauważył porzucony na fotelu biały płaszcz kąpielowy frotte i próbował ją nim okryć.

— Nie — odepchnęła jego troskliwą rękę. Nieporadnie przytuliła się do Oscara, a potem zaczęła drżącymi palcami rozpinąć guziki przy jego koszuli. — Zostań — poprosiła, lękając się zajrzeć mu w oczy. — Inaczej coś sobie zrobię. Nie wytrzymam sama.

Była warta grzechu. Poczuł, że narasta w nim podniecenie i że nie oprze się pokusie. Udzieliło się mu jej szaleństwo i choćby bardzo chciał, nie umiałby odmówić.

Rozdygotana Katie zaciągnęła Oscara do sypialni. Przejęła w lot inicjatywę, nie chcąc stracić ani sekundy, jakby się obawiała, że chłopak może się rozmyślić i dać nura w ciemność. Nie zamierzała grać roli niezdobytej księżniczki z wysokiej wieży. Nerwowo zerwała z niego bawełnianą koszulę. Trzasnął ostatni guzik. Po drodze niedoszły kochaś pozbył się swoich adidasów. W drzwiach poczuł jej dłonie na swym lekko zarośniętym brzuchu. Zapaliła jasne światło i dorwała się do jego dżinsów. Pchnęła go na łóżko i ściągnęła je wraz ze skarpetkami. Jak na mocno przerażoną dziunię, radziła sobie całkiem nieźle. Slipami sam się zajął. Podkurczył nogi i zsunął je aż do kostek, ale znieścacka dopadł go wstyd.

— Zgasimy światło? — zakłopotany zapytał, gotów schować się pod cienkie nakrycie.

Potrząsnęła przecząco głową, szybko i wyjmując wsuwki

z włosów. Odłożyła je, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma. Jej spojrzenie niemal parzyło. Przemknęła mu przez głowę trwoźna myśl, że Katie posługuje się czarami i że naprawdę ma coś wspólnego z filmową rodziną Addamsów lub Sabriną z serialu o czarodziejkach. Stłumił ją, bo przecież to nie było możliwe.

— Nie — odparła, pochylając się nad chłopakiem i zabierając się za niego.

Znalazł się pierwszy raz w życiu z laską w łóżku i wyczytała to z jego zakłopotanej twarzy. Nigdy nie przekroczył granic intymnego *tête-à-tête*, nie zabawiał się z prostytutkami, ani z rozpuszczonymi gówniarami, więc brakowało mu doświadczenia. Był niewinny niczym chłopiec z chóru kościelnego. Nieporadnie próbowała mu pomóc. Ułożyła się obok i ujęła palcami jego ptaka. Jednocześnie wodziła wargami po jego opalonym ramieniu i szyi. Używała perfum innych niż Rita, mniej intensywne, ledwo wyczuwalne, a jednak dających się zapamiętać. Gdy penis nabrzmiał, przewróciła się na plecy i ściągnęła chłopaka między swoje uda. Poraziła go myśl, że nie trafi tam, gdzie powinien, przecież był to jego debiut, ale sobie poradził. Niefart w łóżku nadwątliłby jego męskie ego. Wbił się w jej mokrą szparkę. Odpowiedziała stłumionym jękiem. Poczul się wreszcie jak młody bóg i zagubił w miłosnym galopie. Boże, co to była za rozkosz!

Około drugiej w nocy odkrył, że jest głodny. Zaburczało mu w brzuchu. Nie jadł kolacji, a maraton miłosny okazał się wyczerpujący. Kochali się raz, potem się całowali, następnie drugi raz, aż wreszcie na chwilę zasnął.

— Zrobić ci kanapkę? — zapytała.

Załóżyl slipy, które znalazł obok łóżka i pociągnął za nią do kuchni. Po drodze zajrzał do łazienki. Usiadł przy dębowym stole, śledząc wzrokiem jej krzątanie. Podgrzała mu w kuchence mikrofalowej duży kawałek pizzy.

— Dobrze być żywym, nie? — rzucił, kiedy przyniosła mu talerz i sztućce.

Powoli jadł, nie odrywając od niej wzroku. Zignorowała to pytanie. Usiadła na sąsiednim krześle, z wdziękiem krzyżując nogi. Bezwiednie poprawiła sobie opadające włosy. Nadal była naga, nie narzuciła nic na siebie, jakby chciała, by każdy szczegół jej czarownego ciała dobrze utkwiał mu w pamięci. Alabastrowej bieli skóry nie znaczyły ślady opalenizny. Dziwiło go, że Katie nie odczuwa zakłopotania, zmieszania ani wstydu. Towarzyszyła mu wprawdzie, potulna i cicha, jednak przy tym nieruchoma, milcząca i prawie nieobecna. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Powiadano, że seks bez miłości jest jak czarna kawa bez cukru. A choć w jej ramionach nie czuł braku słodczy, to jednak czegoś mu nie dostawało. Jednak nie wiedział czego.

Rzucił kilka kolejnych pytań, przerywając ciszę, lecz za każdym razem spuszczała głowę, zasłaniając twarz włosami. Odpowiadała monosylabami. Łącząca ich więź była tak cienka jak nić pajęczna i wydawało się, że dziewczyna nie chce, aby się wzmocniła.

Wrócili do sypialni. Zainteresowały go oparte o ścianę sztychy w kartonowych okładkach. Z ciekawości kilka obejrzał. Znalazł tu ujęcia siedzącego przy ognisku starego Indianina z orlim nosem, trzymającego na kolanach sznur z pismem węzełkowym. Jego wyrazista twarz z zapadłymi policzkami miała w sobie coś tajemniczego. W kobiecie w eleganckiej sukni rozpoznał matkę, a potem nieoczekiwanie trafił na swoją podobiznę. Nie brakowało jej talentu i podobieństwo było uderzające, więc jego brwi powędrowały wysoko w wyrazie niebotycznego zdumienia. Jeżeli sądził, że w jej życiu nie ma nikogo szczególnego, to się mylił. Szperał dalej i z teczki wypadło kilka mniejszych rysunków w ołówku, przedstawiających Oscara i Katie w miłosnych objęciach, opartych na pozycjach Kamasutry. Nie przypuszczał, że może być obiektem jej skrytych fantazji erotycznych. Gdyby nie demoniczny wirus, pewnie nigdy nie odsłoniłaby swoich kart.

Nie poczuła się zakłopotana. Jakby to, co ujrzał było najzupełniej naturalne, niczym zmiana kierunków na skrzyżowaniu

i jakby był tylko przypadkowym modelem, któremu płaci się za pozowanie do aktu. Cierpliwie czekała na niego w łóżku, chcąc się do niego przytulić. Tym razem pozwoliła mu zgasić światło.